

**PROLOG**  
**RZYM**  
**168 R. N.E.**

Z drewnianych pieców polewanych przezrzystą, ciepłą wodą zmieszaną z olejkami wonnymi buchały obłoki pary wypełniające wielką łaźnię. Kilku mężczyzn dbało o swoje zdrowie, smagając się śmiało witkami brzozowymi, i uprawiało wielbioną wówczas politykę, rozmawiając, a właściwie wymieniając się między sobą poglądami. Załatwiwszy, obok spraw higienicznych, także sprawy państwowe, bo byli to w większości senatorowie Rzymu, dzieci demokracji, zaczęli rozprawiać o filozofii. O ile bowiem czasy to były pełne ciemności, to wielu było ludzi światłych.

I spytał głos z rogu komnaty, dudniący, głęboki, wszędobylski, co przetoczył się przez łaźnię tak, jak słonie przetaczały się przez wschodnie pola bitew, pustosząc przeszkody i zostawiając za sobą jedynie ciszę:

– Co się stanie z demokracją, kiedy nasze dzieci odejdą, a potem ich dzieci?

A był to Galen, najwspanialszy z uzdrowicieli, ojciec medycyny.

Zapadła podniosła cisza. Nikt tego pytania nie chciał przyjmować na siebie, znając prawdziwego adresata.

I odezwał się głos pusty w brzmieniu, cichy w tonacji, bez żadnej siły witalnej, a wydobywający się ze smukłej gardzieli, gdzieś w najdalszym rogu łaźni:

– Kto widział terażniejszość, widział wszystko od wieczności do wieczności. Wszystko bowiem jest jednakiego rodzaju i kształtu jednakiego<sup>1</sup>.

A był to głos Marcusa Aureliusza Antoninusa zwanego Verissimusem\*, Cesarza Imperatora, Pana Znanego Świata rozciągającego się od Mezopotamii po Brytanię, od Egiptu po Mauretanię, od Afryki po Germanię, „filozofa na tronie”, wykształconego żołnierza. Władcy, który mógł mieć wszystko, co by zdołał wypowiedzieć, a spał na twardym łóżku przykryty skórą, nie godząc się na luksusy, które według niego naruszały życiową równowagę.

I wiedzieli senatorowie, że to było dobre.

---

\* Verissimus (łac.) – najprawdziwszy. Marek Aureliusz był nazywany w ten sposób, bo brzydził się kłamstwem.

## **PROLOG II**

### **WOŁCZYN**

**STYCZEŃ 1732 R.**

### **PONIATOWSCY HERBU CIOŁEK**

W dalekim kraju, leżącym w połowie drogi między wschodem a zachodem, będącym przystankiem między surowym krajobrazem nadbałtyckich krain a tureckimi quasi-państwowymi plemionami wyznawców Mahometa, w miejscu bogatym w urodzajną glebę, w lasy pełne dzikiej zwierzyny, w ludzi pełnych fantazji, stał modrzewiowy, jednopiętrowy dwór z murowanymi skrzydłami. Projektowany przez francuskich mistrzów, dekorowany z udziałem włoskich artystów, stanowił prawdziwie książęce gniazdo. I chociaż wszechwładna szlachta głosiła między sobą równość, byli wśród tej równości równi i równiejsi, a jedni drugim kłaniali się w pas i najmowali się u nich na służbę za pieniądze. Do tych, którym się kłaniano, należał z pewnością, choć dopiero od niedawna, ród Poniatowskich.

Generał Stanisław był twórcą potęgi swojego rodu. Droga do chwały nasączona była w jego przypadku krwią i potem wylanym na dziesiątkach pól bitewnych w Europie. Będąc u szwedów na służbie, dwakroć ratował ich króla z ramion śmierci, a chanów tureckich tak ze sobą skłócił, że ci wydali Rosji wojnę. Mówili o nim kanclerze, królowie, pisali

o nim artyści. Generał również pisał, siedząc teraz w zaciszu swego gabinetu. Wysyłał listy do Paryża, Sztokholmu, Rygi. Słowem – prowadził politykę. Jego światową klasę potwierdzono w Rzeczypospolitej wszem wobec, do ożenku mu dając najbardziej pożądaną pannę w kraju, Konstancję z Czartoryskich, rodu starego jak sami Piastowie, z którymi to zresztą władcami księżęta byli spokrewnieni.

We dworze Wołczyńskim, będącym dziedziczną majątnością Czartoryskich, nigdy nie było spokoju. Wszyscy okoliczni, a nawet zagraniczni szlachcice średniego szczebla garnęli się do potęgi, gotowi szukać tu opieki, ofiarować swe służby, zapewniać o oddaniu i wdzięczności. Inni przychodzili owych gości zagranicznych podglądać i zażyć „wielkiej Europy”, która przechodziła w tym czasie piękne przemiany.

Nie inaczej było tego dnia, kiedy Konstancja przyjmowała wraz z gromadą dzieci swoich gości, aby te od młodego nauczyły się sobiepaństwa, protokołu królewskiego i sprawiedliwych sądów. W kraju tym to, co było wyjątkowe, to ilość władców równa ilości wielkich posiadłości ziemskich<sup>2</sup>, a tyle tu było sprzecznych interesów, ile możliwych rodów, ile mocarstw w Europie, które miały pieniądze do stracenia<sup>3</sup>. Konstancja, której ambicja była większa od sierpniowych zbiorów zbóż, miała plany co do swoich potomków, aby ich w tej feudalnej hybrydzie umieścić na właściwym miejscu. Dzieci czworakowały tedy w sali audiencyjnej, gaworząc wesoło i rozpychając się między sobą. Przyglądało się temu ludzi wystrojonych blisko pół setki, każdy gotów roztkliwiać się nad malcami na zlecenie ich matki. Pani domu siedziała pewnie na podwyższeniu, z surowym wyrazem twarzy zbywając podobne umizgi kiwnięciami głowy i cierpkimi półuśmiechami. W rogach komnaty stało czterech barczystych

dragonów z chorągwi rodzinnej, którzy przywdzawszy czerwono-błękitno-białe stroje z wyszytym herbem rodzimym Ciołek, przysięgali rodzinie dozgonną lojalność. Oni to dbali o bezpieczeństwo pani i młodych Poniatowskich. We dworze było jeszcze dwustu podobnych im na zawołanie, a w razie potrzeby mogła się ta liczba w kilka godzin zwielokrotnić.

Wkraczali kolejni goście, przynosząc nowiny, dary i błagania. Konstancja, urodzona do rządzenia i najwyższych godności, gwałtowna i inteligentna, o niespożytej energii, sądziła kolejnych interesantów, uzależniając ich los od swojego kaprysu. Po jakimś czasie odprawiono część służby i gdy gapie zbierali się już powoli do wyjścia, przyszedł paż Stanisława, Władysław, herbowy Półkozic, z nowiną, że zamówiono znachorkę. Czarownica podobna do tych, których stopy rozświetlały całą oświeconą, zachodnią część Europy, przejeżdżała nieopodal dworu, udając się do Wilna. Konstancja zgodziła się na pokaz, przeto wszyscy zgromadzeni ciekawi nadchodzącego widowiska usiedli na miejsca. Było w tym narodzie umiłowanie do przepowiedni, a pomimo setek lat minionych pozostało obok anarchicznego feudalizmu także zamiłowanie do zabobonów i bają ludowych.

Podwójne dębowe drzwi okute żelazem, ze srebrnymi zdobieniami i klamkami w kształcie lilii otworzyły się na oścież. Do środka weszła staruszka okryta ciemnofioletowymi płótnami. Niewysoka kobieta szła powoli, płynnie, bez wahania. Oczy miała na wpeł przymknięte i mamrotała coś pod nosem. Kto mógł, dostrzegł wyłaniające się spod okrycia głowy zmarszczki, które przeorały jej twarz przez lata spędzone w leśnych chatkach, z dala od ludzi. Przeżegnali się jedni, inni patrzyli jak zahipnotyzowani. Woń ziół rozeszła się po pomieszczeniu, a nie był to szafran, tak ukochany przez naród,

ani pieprz, tylko dziurawiec. Tajemnicze zioło od wieków babki obecnych na sali wkładały swoim dzieciom do pieluch, aby te nie padły ofiarą straszliwych dziwożon przychodzących w nocy do zagród i tajemniczych mar leśnych, które wielkimi ślepiami, niepodobnymi wcale do zwierzęcych, zerkały z zagajników na wiejskie gospodarstwa. Konstancja również poczuła nieprzyjemny zapach, ale wiedziona ciekawością i ciągotkami do popularnej metafizyki, pokiwała znacząco do stojącego nieopodal pazia, dając znak, że wszystko jest w porządku. Zacisnęła szczęki, gdy starucha zbliżyła się do dzieci. Spojrzała raz jeszcze na pazia, który bez wahania zaszedł kobietę od tyłu. Przeżegnał się i położył dłoń na głównej szabli, która to broń w tym kraju przybrała doskonałe formy, gotów w mgnieniu oka wyciągnąć ją i zakończyć całą przygodę jednym cięciem.

Nikt się nie poruszał. Ludzie zamarli, wciągając powietrze do płuc. Staruszka pochyliła się, mamrocząc nad gromadą dzieci i przyglądając im się uważnie. Kto usłyszał jej słowa, ten przeląkł się jeszcze bardziej. Kobieta nie mówiła językiem francuskim, stworzonym do miłości i poezji, ni angielszczyzną pierwszą w żartach i polityce, ni niemieckim, który każdemu rozmówcy narzucał porządek. Nie był to żaden ze znanych języków.

Wiedźma sięgnęła dłonią w kierunku jednego malca. Paź naprężył się do skoku. Na zewnątrz pałacu zarżał koń, czego nikt by nawet nie zauważył, gdyby wiedźma, złękciona po raz pierwszy, nie cofnęła ręki. Spojrzała raz jeszcze na dzieciaka, którego chciała dotknąć. Kto stanąłby z nią twarzą w twarz, dostrzegłby w jej oczach głęboki smutek. Znachorka znów zaczęła okrążać gromadkę, przyglądając się magnackim dzieciom. Od czasu do czasu kręciła głową lub wyrzucała ręce w powietrze w niemym geście. W końcu stanęła, spoglądając

na najmłodsze z dzieci. Skupiona przyciszyła głos i zaczęła szeptać coraz szybciej. Nachylała się, a jej powieki podnosiły się stopniowo, ukazując przekrwione białka. Zaśmiała się ochryplym, szaleńczym głosem, wypluwając przy tym sporo śliny. Ludzie zjeżyli się na podobne czary, stali jednak dalej otumanieni oparami i hipnotyzującym urokiem obcej. Wiedźma podniosła wybrane dziecko. Obchodziła się z nim bardzo ostrożnie i z szacunkiem, jakby od tego zależało jej życie, co zresztą było zgodne z prawdą.

Trzymając maleństwo na rękach, wiedźma odwróciła się do Konstancji Poniatowskiej i w geście tryumfu wzniosła dziecko ponad głowę.

– Kto za lat trzydzieści parę żyw będzie, ten ma przed sobą króla! – kobieta krzyknęła w najczystszej polszczyźnie.

I znów zapadła cisza. Kilka osób skłoniło mimowolnie głowy. Wiedźma, nie zważając na to, brała malucha w ramiona, tuliła go do piersi, obracała się z nim i wielce się radowała. Radowała się też Konstancja, bo choć była światłą osobą i ze świecą można było szukać lepiej wykształconych, to znała przecież siłę słów, które raz wypowiedziane rzucały na kolana całe potężne narody, potrafiły zrywać sojusze i – jak miała nadzieję – miały cudowną moc stwórczą.

## **GDAŃSK**

**1734 R.**

### **PONIATOWSCY HERBU CIOŁEK**

Brukowaną ulicą wypełnioną ludźmi wszelkich narodowości poruszała się zdobiona kareta z herbem Ciołek, otoczona czterema dragonami. Pierwsze zimowe podmuchy

smagały bezlitośnie po pancerzach wyrosniętych żołnierzy, mających swą powagą chronić rodzinę rozchwytywanego generała Poniatowskiego w trakcie trwającego bezkrólewia. Stronnictwa dwóch kandydatów chciały mieć przy sobie wielkiego wojownika, którego imię rozśławiano w całej Europie. Gotowi byli zrobić wszystko, żeby zachęcić go do lojalności wobec nich.

Z okien starych kamienic ozwały się strzały. Dwóch dragonów bez słowa skargi spadło ze swych koni na ziemię, dławiąc się własną krwią. Trzeci sięgnął po pistolet i oddał nawet kontrujący strzał, ale prędko dosięgła go kolejna salwa przeciwnika. Ostatni z obrońców zdołał doskoczyć do karety.

– Uciekaj! W klusa! – krzyknął do woźnicy. Ten kilkukrotnie strzelił z bicia. Przerażone zwierzaki spięły potężne mięśnie i w kilka uderzeń serca poderwały wóz do dramatycznej ucieczki. Ostatni z żywych dragonów towarzyszył rodzinie Poniatowskich, dopóki naprzeciwko nich nie ujrzał kilkunastu jeźdźców czyhających na nich z przygotowaną bronią. Nie zastanawiając się ani chwili, zawołał głosem pełnym determinacji:

– W prawo! Jedź w prawo!

Woźnica skręcił ostro, ledwo nie przewracając niestabilnego wozu. Przeciwnicy zorientowali się, że ich ofiara ucieka, i ruszyli w kierunku wozu. Ostatni z dragonów Poniatowskich rozpędził konia, wyprowadzając go wprost na nadjeżdżającą grupę. Wypalił z pistoletu, trafiając jednego z napastników w ramię. Tamten złapał ręką za miejsce, w którym kula otarła się o kość, i syknął z bólu. Jego towarzysze wycelowali w pędzącego na nich jeźdźca. Pociągnęli za spust, zrzucając go bez życia z konia, i popędzili w ślad za kareta.



Woźnica omijał na tyle, na ile mógł, uliczne kramy, żebraków, przestraszonych przechodniów. Z karety wyglądała Konstancja Poniatowska, która pod nieobecność męża pozostała sama z dziećmi. Najstarszy, Kazimierz, chociaż jeszcze dziecko, zakasał rękawy i napuszył się, gotowy do bitwy. Towarzyszący mu Franciszek wyglądał na wystraszonego w przeciwieństwie do Aleksandra, który wystawił głowę przez okno, pokrzykując na woźnicę. Dziewczynki wtulone w mamę trzymały najmłodszych potomków: Stasia i Andrzeja. Twarz ich rodzicielki spała złowieszczy grymas. Pełne skupienie Konstancji, obserwującej przez okno całe zajście, pozwoliło jej w porę dostrzec kolejną zasadzkę. Na wysokości głowy woźnicy, pomiędzy kamienicami, zawieszono sznurek.

– Skręcaj! Skręcaj! – krzyknęła, aby woźnica pociągnął za lejce, zjeżdżając do bocznej alejki.

Ozdobna kareta nie była przystosowana do takich manewrów. Tym razem wchodząc pod zbyt dużym kątem w zakręt, przechyliła się, niebezpiecznie uderzając w kamienną ścianę budynku. Pani Poniatowska rzuciła się na dzieci, amortyzując uderzenie. Leżała wściekła na ziemi, drżącymi rękami obejmując swoje największe skarby. Z nosa kapąła jej krew.

– Nadchodzą – krzyknął woźnica.

Pani Konstancja usłyszała, jak sługa zeskakuje z powozu i ucieka w boczną uliczkę.

– Niech nadchodzą – powiedziała do siebie.

Stukot końskich kopyt narastał stopniowo. W końcu wszystkie odgłosy ustały. Pani Konstancja wzdygnęła się, gdy ktoś zapukał do drzwiczek.

– Pani Konstancjo, proszę być spokojną. Nikomu nie stanie się krzywda.

– Mąż was pozabija! Rozumiesz to, chłopie?

– Pani wybaczy, nie jestem chłopem. Zapewniam, że to tylko niezbędne środki ostrożności.

Drzwiczki otworzyły się, do środka zajrzało czterech wąsatych, grubych szlachciców poubieranych w kontusze. Ku zaskoczeniu wszystkich obecnych malutki Aleksander wyskoczył z karety i zaczął okładać pierwszego napotkanego przeciwnika pięściami. Ten chwycił go delikatnie oburącz i przytrzymał. Napastnicy uśmiechnęli się na ten piękny widok.

– No proszę, rośnie nam zastępca pana generała. Pan wojewoda Józef Potocki przesyła pozdrowienia i uprzedza, żeby nie mieć mu za złe, że weźmiemy pod opiekę jednego waćpani syna. Musimy mieć pewność, że pani mąż opowie się za koronowaniem Stanisława Leszczyńskiego. To dla nas bardzo ważne. W dowód uznania za ten brawurowy pokaz odwagi zostawimy tego bohatera z panią. Weźmiemy innego...

– Nie waż się dotykać moich dzieci! – krzyczała Konstancja, jednak ludzie Potockiego nic sobie z tego nie robili. Dowódca skinął na dwóch pozostałych i wskazał im dwuletniego Stasia. Ten oddał się przerażony w ręce nieprzyjaciela, nie rozumiejąc sytuacji. Dwóch ludzi Potockich siłowało się w tym samym momencie z panią generałową.

– Pani syn zostanie objęty ochroną w Kamieńcu Podolskim, zaopiekuje się nim człowiek honoru, Wacław Rzewuski – tłumaczył dowódca porywaczy.

– Wy nie macie honoru, gnido! – usłyszał w odpowiedzi od pani Poniatowskiej i zrezygnował z dyplomacji.

Konstancja została sama w środku zimnego miasta. Pod jej ręką tuliły się dzieci. Wszystkie oprócz zmęczonego Aleksandra, który obrażony wyszedł z karety, i Stasia siedzącego teraz na koniu zamaskowanego awanturnika. Na jego powrót do domu matka czekała ponad rok. W tym czasie zarówno generał

Poniatowski, jak i wojewoda Potocki zmienili obóz, popierając przeszłego króla, Augusta III Wettyna.

## **WOJNÓW**

### **MAKSYMILIAN WOYNA HERBU DĄB**

Biegnę przez stary, dębowy las należący do ojca, a wcześniej do jego ojca, i tak dalej, i tak dalej, aż do stworzenia Polski. Rachityczne gałązki pękają pod drobnymi, skórzanymi trzewiczkami śmiejącego się podrostka. Mam kilka lat.

Słyszę nawoływania matki – po niemiecku. Dumna śląska kobieta. Słabo mówi po polsku i nie lubi tego robić. Dochodzi do mnie głos ojca tłumaczący zaproszonym gościom:

– Chyży, a prędki, znacz kawalerzysta nam rośnie! Komendy nie słucha niczyjej, utrapienie! Ot co! – mówi z przejęciem, ale oczy mu się błyszczą i przepełnia go duma. Goście kiwiają z uśmiechem głowami, pewnie z grzeczności.

Biegniemy we trójkę: Ja – Maksymilian Jan, młodszy Henryk i starszy Joachim Michał. Za nami dzieci służebne. Jest Jasiu, Maksiu i Heniu, ale też zgraja innych Jasiów, Andrzejów, Michałów. Wszyscy bawią się razem. Równość szybko się skończy. Mama odpędzi silniejszego Janka, da mu po głowie, nabije dużego guza. My będziemy chodzić na francuski, jeździć konno, a mały Wojtuś zacznie pomagać upodlonemu tatulowi na roli. Do wygod i przywilejów można się szybko przyzwyczaić. Dojrzały, choć przeraźliwie chudy, w wieku lat dwunastu nabrałem ochoty na hulanki i swawole. W dalekim sąsiedztwie mieszkali państwo Chudowscy, z których to pan Michał posiadał wielkie stada koni i zaliczał się do najmożniejszych w naszej okolicy. Przyjeżdżali do nas, lub my do

nich, co trzecią niedzielę. Trzymali się z moim ojcem blisko i starą wyznawali mądrość: „gdzie zgoda, tam siła”. Długo mi tego ojciec nie przetłumaczył.

Podczas jednej z wizyt Chudowskich, spośród których Zbyszek był pierwszy do tańca i do różańca, ten ostatni mocno się zaprzyjaźnił z moim rodzonym bratem Jaśkiem. Był to dla mnie wspaniały bohater, który wielce dokazywał. Byłem zaczarowany tym buńczucznym zachowaniem. Pierwszy on z nas wszystkich miał swoją szablę, pierwszy fechtował, pierwszy jeździł konno. Zawsze w grupie wiódł prym. Nawet jak gadał bzdury, miał w zwyczaju robić to głośno i wyraźnie, co mu wystarczało, żeby zjednywać sobie innych. Starzy chwalili go przy obiedzie, a to dla nas było ważniejsze niż zdrowie. Ojciec mój – wielki szlachcic i gospodarz – wydawał się sędzią i prawie królem. Nie znał nad sobą pana. Jak powiedział, tak było.

Skoro mówił, że Jasiek i Zbyszek to „młodzi rycerze” – musiało tak być.

Jasiek posłyszał od Zbyszka, że chłopci należą do nas i gdy nachodzi nocna gorączka, podniecenie wkrada się do trzewi, a złe duchy nie dają spać, to można dać upust, skorzystać z baby rolnej, byle nie mówić ojcu. Zbyszek natychmiast zaczął nas przekonywać. Heniek na ten pomysł się obraził, poszedł doglądać kaczek, bo był największym dziwakiem w całym Wojnowie, słowem – zdezerterował. Taki to był chłop, co gdy się coś działo, robić nie chciał, tylko „musiał przemyśleć”. Chyba podsłuchiwał to słowo przy stole, bo w domu rodzice ciągle „musieli przemyśleć”, gdy akurat nic konkretnego nie robili.

– Do diabła z tobą, Heniek – rzucił starszy brat i popatrzył na niego jak na krowi zad. Wolałbym się sam na swój nóż nadziać, niż to usłyszeć z jego ust. Poszedłem więc z Jasiem i Zbyszkciem.

W stodole baby przerzucały siano. Chłopy poszli w pole, przeto same dzierlatki się uchowały w budynku. Na sklep\* Heniek wszedł pierwszy, Zbyszek miał zastawiać od zewnątrz wejście do środka i krzyknąć, gdyby się ktoś zbliżał.

Wnet słyszę zduszony krzyk. Nie Zbyszka, kobiecy. Chwilę szamotania i cisza.

Po chwili ze sklepu wybiega Janka cała czerwona, poprawia kawał szmaty, taki, co to na co dzień nosiła na sobie. Brudna jest w wielu miejscach, a ręce ma grube i spękane. Wstręt i obrzydzenie przepelniają mnie, ale serce bije mocno, gotowe bitwy toczyć i bić z diała.

Janka patrzy na mnie wzrokiem, który często potem widywałem na polowaniach u saren. Strach miesza się w nich z niepewnością, w oczekiwaniu na ruch myśliwego. Puszczam ją wolno. W chwilę później wychodzi Zbyszek i uśmiecha się zawadiacko. Wygląda na pełnego energii i dumnego z siebie.

– No, młody, przyczaj się, aż któraś wejdzie. Ja się schowam, żeby ją lepiej podejść. – Szczerzy zęby w szerokim uśmiechu, poprawia swoje jasne włosy i wskakuje w największy stóg siana, bo fantazje ma niepomierne, kocha przygody, podchody, chowanego, i bitwy na kije. Nie pytał mnie nawet, czy chcę, ale nie zwykłem nikomu z rodziny odmawiać, bezwiednie stoję więc na stanowisku, oczekując na jakąś wieśniaczkę.

Wtem do pomieszczenia wchodzi piękna dziewczyna. Z początku pomyliłem ją ze szlachcianką, bo ma jasny warkocz zapleciony z finezją, który opada jej aż do pośladków. Przypatruję się jej, nieśmiały. W podwórzu nawet bym się wstydził wypowiedzieć do niej słowo. Przyczajony Zbyszek ujawnia się, wyskakując z siana jak Tatar z lasu, i porywa

---

\* Sklep – dawniej pomieszczenie ze sklepieniem, np. piwnica.

piękność za ręce. Pojawiam się obok niego, żeby nie stronić od przygody i wykonywać rozkazy brata. Ten krzyczy raz po raz: „szmatę jej w gębę”, „zasznuruj ręce”, „do piwniczki!”

Ta z początku krzyczy i szamocze się jak zwierzyna, ale my i tak wciągamy ją siłą do ciemnego, zimnego pomieszczenia. Podniecenie rozrywa mi ciało i jak energia nie z tego świata pcha się do przodu, aby wybuchnąć. Podciągam jej chłopską szmatę i krew odpływa mi z głowy zupełnie. Zrobiło się duszno. Pali mnie w płucach tak mocno, że mi dym prawie ulatuje z nozdrzy.

Patrzę na brata zaniepokojony.

Co robić?

On, dumny, że mu się zasadzka udała, nie zauważa mojego wahania. Poprawia koszulę, zacierając ślady zbrodni.

– No to masz, bracik, znaj pogodę szlacheckiego życia – mówi Jasek z udawaną nonszalancją w głosie. Tak naprawdę on też jest podniecony tą sytuacją jak nowy poseł na sejmiku. – Ja cię tu nie będę konsternował, harcuj swobodnie, a o starych się nie martw. Ze Zbyszkiem stanę na czatach i jak się kto zbliży, zrobimy rumor, żebyś uciekł. Na zakończenie klepie mnie po plecach mocno i przyciska nieszczęsną wieśniaczkę z powrotem do drewnianej belki, akcentując swoją siłę. Wychodzi, pogwizdując.

A ja zostałem z moimi myślami, z którymi szarpałem się całe życie. Szarpałem się z opiniami i rozkazami. Szarpałem stronnictwa, zrywałem sejmy, zrywałem głowy z ludzkich korpusów i oficerów z ich stanowisk. Szarpałem włosy z własnej głowy, bezradny, ogłupiały, oszukany. W dobrej wierze największe czyniąc krzywdy, z frustracji opadając w otchłań desperacji, mogłem odwracać zupełnie fatalne sytuacje. Najpierw wszak należało podjąć decyzję.

## MARZEC 1744 R.

Dwa śmigłe bachmaty zatrzymały się przed dworem Adama Tarły, wojewody lubelskiego, znacznego pana i wielkiego pieniacza. Strojni oficerowie saskiej gwardii zsiadli z obłoconych koni nieopodal olbrzymiej marmurowej fontanny i nie bacząc na zmęczenie, udali się po równie marmurowych schodach do pałacu, zrobionego w znacznym stopniu z marmuru.

Otworzył i ugościł ich lokaj, który od biedy nie był marmurowy, ale szybko nabrał białego jak marmur koloru. Krew odplynęła mu z twarzy, co dodało wiele komizmu jego karnawałowej kreacji, bo ubrany był ten jegomość jak cygański król. Patrząc na gości, rozumiał, że jest to nieoczekiwana wizyta, domyślał się jej materii i nie chciał być tym, który przyniesie wojewodzie nowinę.

– Mości panowie oficerowie, zapraszam do pokoju gościnnego, Fryderyk zaraz zaproponuje trunek, bo przecież napijecie się po długiej podróży?

Wpuścił gości przodem i ukradkiem popatrzył na długie żołnierskie buty, całe w błocie i końskim gównie, stąpające po perskich dywanach. Dostał mdłości. Wiedział również, że w głosie nie ukrył wystarczająco dobrze swego niepokoju, dlatego na ponure, bezwzględne miny przybyłych wojaków, a w szczególności ich długie szpady, zareagował salonowym dygnięciem na jedną nóżkę. Skręcił przy tym głowę, jakby chciał posłuchać własnego serca, po czym zniknął w komnatach.

Przedtem usłyszał tylko, że wojacy przybyli od „mości pana Poniatowskiego i chcą się namówić bez zwłoki z gospodarzem tego domu”. W świetle ostatnich wydarzeń rodziło to jak najgorsze prognozy w głowie lokaja, który jak każdy normalny

człowiek pragnął spokojnie żyć, ale i obracać się w doborowym towarzystwie. Trzeba było najpierw wojewodę do rozmowy zaprosić.

**WARSZAWA**  
**ROK WCZEŚNIEJ**  
**ADAM TARŁO HERBU TOPÓR**

Warszawa zawsze kochała bogate bale, wystawne imprezy i te z burzliwych romansów, które wychodziły na jaw ku ucieście szerokiej publiczności. Takie same upodobania miał pan Adam Tarło, noszący zawsze ze sobą pokaźne szablisko na wypadek przygody. Miał tysiąc ludzi na zawołanie, w Rzeczpospolitej robił, co chciał, z królem lub bez niego, a więc dużo pił, chłopów bił i nie bał się niczego.

Na balu u marszałka wielkiego koronnego Bielińskiego, wielkiego nie tylko z urzędu, ale i z duszy, gospodarza Warszawy, wystrojony w szaty i drogocenne kamienie warte setki złotych polskich, pan Tarło chciał zrobić jak najlepsze wrażenie. Razem z przyjaciółmi odebrał wyróżniony stół i choć do pana marszałka chcieli się dostać wszyscy, a i on zaprosił niemało ludzi, to w wielkiej Rzeczpospolitej zaproszeni goście stanowili prawdziwą elitę.

Rodzin się naschodziło co niemiara. Była to prawdziwa okazja, żeby powiększyć wpływy, pogodzić zwaśnione strony, a przede wszystkim: jak Bóg da, dwójkę ludzi zbliżyć, połączyć magnackie fortuny i rosnąć w siłę. Takie były chwalebne zamiary pana marszałka, które jednak los boleśnie zweryfikował.

Już przy wejściu było ciasnawo, tedy pogniewał się pan Adam, że mu jakiś pacholek nieopatrznie stanął na drodze.



Zdzielił go nahajem, który nosił dla koni, z taką siłą, że tamten spadł ze schodów. Kiedy biedakowi uniosły się poły płaszcz, oczom wojewody ukazał się wyszyty na koszuli herb przedstawiający czarnego orła w koronie. Drapieżny ptak nosił na swej piersi trzy czarne trąby o srebrnych okuciach, połączone ustnikami. Wokół rodowego klejnotu rozciągało się pięć strusich piór. Wojewodzie podniosło się ciśnienie, zaczęło brakować mu powietrza. Był to jeden z najpoważniejszych herbów w Rzeczypospolitej, należący od zarania dziejów do domu Radziwiłłowskiego. Pan Adam zapomniał na chwilę o swoim walecznym usposobieniu, podszedł i podniósł zmarnowanego chłopaka. Wprawdzie zwymyślał go, ale z umiarem, tak że wszyscy byli zadowoleni.

Po wejściu, zobaczywszy gąsiora wypełnionego winem, zwołał towarzyszy. Wysłuchawszy mowy marszałka, obecni stuknęli się dzbanami i włali do gardeł znakomite płyny. Nie siadając, zawołali na służbę, która, tylko czekając na znak, ruszyła, by uzupełnić naczynia. Kilka setek rąk z pucharami powędrowało do wąsatych twarzy. Kiedy wszyscy usiedli, pan Adam kazał nalewać trzeci raz przy swoim stole, po czym wznosił toast wobec wszystkich w ten sposób, żeby go było widać i słyszać:

– Nie wygrasz z grabarzem, żyjąc długo, wygrasz z grabarzem, żyjąc. Żyjąc w pełni!

– Wiwat! – krzyknęło kilka głosów, w rzeczywistości jego klientów, którzy zawdzięczali mu obecność na zabawie i wiele innych rzeczy.

Wypili i usiedli. Wkrótce proszono do tańca. Od dwóch godzin każdy rozsądny samiec rozglądał się za kobietami, które by nadarzyło się spotkać na parkiecie. Siedzieli przy stołach najpoważniejsi w kraju, którzy przybyli akurat do Warszawy

lub mieli tutaj swoje pałace. Czartoryscy, Lubomirscy, Brühlowie, Radziwiłłowie, Potoccy, Zamoyscy, a i kilku Sapiehów, i inne rody równie znakomite. Wokół nich stłoczona klientela, dalekie kuzynostwo lub tacy, których największym marzeniem było zaliczać się do magnackich rodzin. Taka była ta polsko-litewsko-saska arystokracja, a w skomplikowanych więzach rodzinnych orientowały się w pełni tylko babki i co niektóre matki. W trosce o przedstawienie się pięknej pani trzeba było najpierw zabiegać o ich względy, przymilać się, komplementować. Tak i teraz zrobił pan Adam, obracając się do pani mającej pewnie ze czterdzieści wiosen. Odgarnął czuprynę, odchrząknął i zapytał delikatnie:

– Najmocniej waćpannę za turbulencje przepraszam, raczyłaby pani dać wskazówkę, kim jest panna siedząca z boku, tam dalej, za Lubomirskich stołem, która cały czas trwa skromnie w milczeniu, nikomu nie oddając uśmiechu? Nie widziałem jej nigdy w Warszawie, a przecież piękna jest jak złote liście we wrześniu.

– Tą się waćpan nie powinien zajmować, wszak to liść raczej paździenikowy, owoc mezaliansu, bo jej ojcem był sam pan Teodor Lubomirski, a matką jakaś pani Elżbieta, co się ze szlachectwem na oczy nie widziała. – Tu tęga kobieta wyduła wargi na kształt żółtka wypływającego z pękniętej skorupki kurzego jaja. – Była z tego duża afera, bo nawet ślub wzięli, którego ta młoda dama jest dowodem. Nikt jej jednak Lubomirską nie nazwał i nie nazwie – zakończyła wyjątkowo kąśliwie i z pewną satysfakcją matrona.

Wojewoda patrzył na Anusię Lubomirską jak w obraz. Była piękna jak przed laty jej matka.

I tak historia musi zatoczyć jedyną znaną jej figurę, która nadaje się do toczenia – pomyślał pan Tarło, wstał, wychylił

kolejnego kielicha i pełen kurazu, który mu się wraz z tym kielichem podwoił, ruszył przed siebie. Patrzyło na niego wiele komnatowych, salonowych i wiele sypialnianych dam, on jednak brnął, nie zważając na nic, za *punctum fixum* obierając sobie nieszczęśliwą półszlachciankę.

Podszedł do niej wielce przebojowym krokiem, zagarnął czuprynę, podkasał saską suknię, pokłonił się dwornie i zaprosił damę do tańca. Jej matka spłonęła rumieńcem i zaszklify jej się oczy, córka spłonęła rumieńcem jeszcze mocniej. Złapali się za ręce, nie trzeba było nic więcej mówić.

Iskry leciały z zielonych kobiecych oczu, na wskroś przesywając dostojnego i bogatego pana. Oboje wiedzieli, że nigdy by te oczy nawet nie musnęły chłystka bez ziemi, nawet pięknego. Na sali dość już było ognia, który rozpełtał się pomiędzy tańczącymi. Po zakończeniu tego żywiołowego uniesienia wojewoda odprowadził wybranek, szepcząc jej do ucha jeszcze obietnicę spotkania. Przy okazji opróżnił kolejny kielich, lub prawie garniec, z cudzego stołu, otarł z czoła krople potu i hajdamackim wzrokiem rozejrzał się po sali.

Dojrzał następną ofiarę.

Podszedł pewnym krokiem, choć już mniej stabilnym, do Izabeli Poniatowskiej, zaliczanej do najpiękniejszej nie tylko w Rzeczpospolitej, ale i w tej części Europy. Stała w towarzystwie swej matki Konstancji, nerwowo wachlującej twarz i odkryty biust. Te dwie damy więcej miały władzy niż niejeden senator, więcej piękna i wdzięku niż sławne później warszawskie Łazienki i więcej adoratorów niż królowa Polski. Obie wściekły się, że ktoś stawia Poniatowską na drugim miejscu po parweniuszce, każąc jej czekać w kolejce. Złe były tak bardzo, jak zły może być człowiek ambitny i noszący książęce wychowanie.

– Uprzejmie proszę do tańca piękną panią, gotów cały wieczór tylko jej usługiwać. – Pan Adam uklonił się dwornie i trzeba przyznać, że zgrabnie mu to wyszło.

Konstancja nachyliła się do córki i wyszeptowała jej coś do ucha.

– Z kimś waćpan tańczył pierwszy taniec, z tą tańczuj i drugi<sup>4</sup> – rzuciła szorstko Izabela do adoratora.

Kilku naocznych świadków wciągnęło powietrze, wiedzieli bowiem, że będzie co opowiadać na salonach. Wściekł się na podobną dymisję porywczy z natury i wychowania magnat. Jego twarz pokryła się purpurą. Wtem szlachcic obrócił się na pięcie do uczestników balu i ryknął:

– Będę miał go za szelmę, kto z wojewodzianką mazowiecką w taniec pójdzie<sup>5</sup>!

Konstancja, baba dumna i męskiego serca, zaczęła znowu saczyć jad, tym razem jednak pochyliła się nad swoim synem, Kazimierzem. Ten wysłuchiwał przez chwilę z kamienną twarzą, co mu mówiła matka.

– Ależ, pani matko, z tego będzie pojedynek... – Młodzieniec starał się zachować racjonalnie.

– Dosyć! Poproś siostrę do tańca! – Matka nie tolerowała sprzeciwu.

Młodzietki Kazimierz spojrzął z pogardą na wojewodę i wobec wszystkich wziął siostrę za rękę, prowadząc ją na parkiet.

– Otóż jesteś szelma<sup>6</sup>! – usłyszał za plecami młody Poniatowski i wszystkie szepty na balu ustały. Nawet Konstancja nic już nie mówiła i czekała na reakcję. Przyszło do honoru. Kazimierz już nie trzymał w ręce dłoni siostry, lecz hiszpańską szpadę.

W moment poderwali się z biesiadnych ław pijani stronnicy, kuzyni, służba. Każdy, kto mógł, ten sięgnął do pasa. Siedem uzbrojonych osób ustawiło się na parkiecie, gotowych do

ostatniego tańca. Pozostali za plecami gotowi rozbijać łby i palić z pistoletów, nikt bowiem o zdrowych zmysłach nie przyjeżdżał na imprezę do Warszawy bezbronnej. Kto ma siłę, ten ma rację. Trafił teraz swój na swego.

– EEEJ!

Ryk wdarł się między zbliżających się do siebie przeciwników, rozdzielając ich skuteczniej od salwy regimentu muszkieterów. Kto mógł, opuszczał speszony ręce, chował do pochew dobytą broń i odstępował od parkietu. Między nich wkuśtykał prawdziwy tyran dla rzezimieszków i bandytów, rzymski sędzia w polskiej skórze, sprawiedliwy i szanowany marszałek Bieliński. On był gospodarzem i on był szefem pierwszej warszawskiej policji, hufców węgierskich, które nazywały go ojcem. W kraju pełnym walecznych i kawalerskich ludzi tej osobie zepsuć bal bez konsekwencji mogło jedynie kilka osób. Żadnej nie było na tej sali. Marszałek zmierzył wzrokiem dwóch prowadzycieli i widząc powagę sytuacji, zgniał ich, jak ojciec łąja dzieci. Zaraz też potajemnie wprowadził do komnaty kilku ludzi uzbrojonych w bandolety.

Dwóch głównych aktorów spektaklu, którym najbardziej dymiło się z czupryn, w gniewie opuściło bal. Pokrzykując na służbę, powiadali do karoc. Każdy udał się w swoją stronę.

## **PAŁAC ADAMA TARŁO**

Dwóch oficerów siedziało w zupełnej ciszy i cierpliwie czekało na gospodarza.

Nie pozwolił im długo czekać.

Syn Stanisława, herbu Topór, po ojcu odziedziczył oprócz nazwiska także puciołowatą twarz, egocentryczne podejście

do życia i niezły majątek. Pan Adam lubił awantury, lubił być przeciwko, a najbardziej w Rzeczypospolitej kochał to, że mógł w niej być przeciwko każdemu i wszystkiemu i nie musiał się z tego tłumaczyć.

W wieku lat osiemnastu był już rotmistrzem pancernym, potem marszałkował konfederacji dzikowskiej, która była piękną awanturą. Województwo lubelskie, dzięki staraniom rodziny i sporym umiejętnościom, otrzymał we władanie w wieku dwudziestu trzech lat, co czyniło go najmłodszym wojewodą w historii Polski. Pobierał stosowne opłaty i pensyje, to też mógł się poświęcić w pełni awanturowaniu. Był przeciwko królowi. Co więcej, był przywódcą opozycji. Z Czartoryskimi i Familiją skupioną wokół niej do tej pory miał niezłe kontakty. Z Kazimierzem Poniatowskim – wschodzącą koronną gwiazdą – pokłócił się już we Francji, gdzie obaj uczyli się wojaczki. Tam o szlacheckiej wolności nie było dużo wiadomo, nie można było więc w armii, w środku obozu dać komuś w mordę.

Po balu u marszałka Bielińskiego korespondował z całą rodziną Poniatowskich, przy czym nie były to wyrafinowane literackie arcydzieła. Do Stanisława, głowy rodziny i twórcy potęgi, przy którym przydomek „wielki” w oczy by nie raził, napisał:

*Ojciec Pana nigdy nie był w stanie mierzyć się z człowiekiem mojej rangi, czego winszuję teraz obydwu Panom (...). Prezentuję mu tedy te bronie: szpadę, lancę, pikę, szponton, pistolet, fuzję, sztuciec, harmatę aż do prochu<sup>7</sup>.*

Bohater szwedzki przytomnie nie dał responsu. Pan Tarło napisał wtedy do Czartoryskich: Michała i Augusta, ale ci z kolei zbyli go jak chudopachołka, co mu podgrzało krew

i wpędziło w szaleństwo. Na próżno rodzina i przyjaciele radzili mu odpuścić bezsensowną sprawę. Szkody na honorach Familii robił, gdzie tylko mógł. Na którejs naradzie musieli postanowić z nim skończyć, skoro przysłali oficerów.

Trzeba zawsze dochodzić swojej szkody, każdym sposobem – pomyślał pan Adam Tarło, a do oficerów rzucił:

– Dobrzeście panowie przyjechali, choć późno.

Wojewoda stanął naprzeciw przybyłym, a oni podnieśli się z krzeseł. Pan Tarło wziął się pod boki, ruszył czarnym wąsem i czekał jak żbik na jakiś ruch.

– Zaproszenie przywozimy waszmości, żebyś się z panem Kazimierzem potykał – rzekł jeden z przybyłych, starając się oddać szacunek i powagę sytuacji.

– Co Kazimierz chce, to jedno, co król chce, to drugie – wycedził wojewoda powoli przez zęby, obserwując reakcje przybyłych.

Było powszechnie wiadomo, że król Rzeczypospolitej usłyszawszy o tym zajściu, zabronił przedstawicielom zwaśnionych stron się bić, żeby nie wywołać wojny domowej.

Oficerowie milczeli przez chwilę. W końcu wyższy z nich zapytał:

– Taką wiadomość mamy przekazać naszemu dobrodziejowi?

Cisza. W komnacie słyhać było tylko serce wojewody. Krew wyrывała się z szybko bijącej pompy, ręce zwilżone potem obracały się płynnie, czasem zataczając okrąg, innym razem poruszając się jak do gry na pianinie.

– Przekażcie jegomości, że nie król, a ja decyzję podejmuję. Stanę. – Wojewoda obrócił się na pięcie i odszedł.

Oficerowie jak jeden mąż skinęli głowami i w milczeniu wyszli.